



Młodziowa
Agencja
Wydawnicza

RSW
„Prasa-Książka-Ruch”

665

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

SŁOWO POWSZECHNE

ul. Mokotowska 43

00-551 Warszawa

Nr. 9 z dn. 12.01.89

Z teatru

„Dożywocie” w Teatrze Ludowym

Fredro wciąż pozostaje orzeźwiającym strumieniem estetycznej radości w naszej literaturze dramatycznej, strumieniem skutecznie rozpraszającym nudę i dziwactwa teatralnych produkcji. Kiedykolwiek pojawia się na scenie, oznacza to, że instynkt teatralny, otwarty na tradycję, i na współczesność, zarówno publiczności, jak i teatrów, nie umarł; zapowiada to satysfakcję teatralną. Oczywiście, zapowiedź nie zawsze się sprawdza.

SUKCESEM jest przedstawienie „Dożywocia” Fredry w Teatrze Ludowym, o czym piszę, z ulgą i przyjemnością. W głowie się kręci od wspaniałości fredrowskiej sztuki, od przenikliwości i mądrości Fredry, a w sercu radość od kunsztu jego wiersza. Wielka to frajda grać takie arcydzieło. Taka sama z pewnością — śledzić na widowni i delectować się pięknem słowa, ciepłem i wigorem humoru, komizmem sytuacji, typów i charakterów, obnażaniem głupoty ludzkiej, odsłanianiem zalganego obyczaju.

Szkoda, że nie widziałem Ludwika Solskiego w roli Łatki, ale jak pisze Tadeusz Kudliński, grywał tę postać raczej nie po fredrowsku, lecz po molirowsku, to znaczy w tonacji okrutnej, ponurej satyry obyczajowej. Podczas, gdy podrzwanie Fredry z wad, przywar i słabości zanurzone jest słoneczaniem w śmieszności wesołej, a nie skyderczej. Jego sztuka, wywiedziona ze smutnej zadumy nad światem „jest zarazem wybuchem najprzedniejszego humoru, jest jedną z najweselejszych, jakie Fredro napisał” (Boy).

Zdaje się, że reżyser nowohuckiej inscenizacji „Dożywocia” Kazimierz Witkiewicz, znany przecież znakomity aktor, widział Łatkę Solskiego i nie za bardzo bronił się przed pewnymi reminiscencjami tamtej kreacji. A jed-

nak Łatka Henryka Giżyckiego jest po fredrowsku psychologicznie bogaty, okrutny i bezradny, nabożnie zniewolony przez pieniądze i obłudnie czuły wobec uczestników rozpętanej przez siebie intrygi, płaszczyący się po szczeniaku, śmieszny. Złość sama i śmieszność.

Warsztat aktorski jest dla Giżyckiego mistrzowsko opanowanym instrumentem, służącym grze wypenionej wnętrzem. Szczupła, przystępna sylwetka, czarny, sfatygowany surdut, nogi starczo zgięte w kolanach, stąpające ostrożnie, twarz o zwichniętej symetrii w okolicy ust, czujna, nateżona niepokojem. Zakośliwie śmieszny. Wciąż mówi i gestykuluje, z łacie chorobliwą alternacją. Bezbiedna dykcja, nie gubiąca niczego w wartkim nurcie akcji, w potoku słów i melodii wiersza. Rytmika wiersza płynie wtopiona w wydarzenia, w dialog. Ostrość i pojękliwość czułości wygłaszanych kwestii. Cóż za sceny! Te pełne troski ośmiatujące zdrowie Leona. Te z Twardoszem. Ta, z której staje się natchnionym kaznodzieją, prawłącym najwznioślejsze morały. Ta, kiedy zamyka Leona z Rózią. Ta z lichwiarskimi umizgami wobec Rózi. Sprężystość, giętkość, stopienie wszystkich elementów gry w jedno spójne, finezyjne efekty artystyczne.

Partnerują Giżyckiemu na zbliżonym poziomie, aczkolwiek po swojemu, Andrzej Gazdeczka, jako Twardosz i Tadeusz Szaniecki jako Orgon. Monstrualna po-

stać Twardosza o tęgim brzuchu i lysej wielkiej pale. Groźna postać. Po coś mu płacziwie paplać, jak to robi staroświecki już lichwiarz Łatka. Wgląda w papiery, rachuje, podpisuje lub odmawia podpisu. Jest już z przyszełego świata wszechwładnie panującego kapitału. Orgon należy do obu światów: i teraz, i potem zgodnie z obyczajem sprzedaje się córki dla poratowania kondycji materialno-społecznej rodziców. Pieniądz stał się wszystkim — napisze Fredro w „Trzy po trzy”. Będzie też o tym wiedział Słowacki, czemu da wyraz w „Fantazym”.

Mieliśmy więc i w naszej literaturze subtelnych autorów „Komedii ludzkiej”. Balzac wówczas nie był jedynym. Orgon jest pospolitym głupcem i lajdakiem, gotowym oddać młodzieńką córkę w łapy starego lichwiarza. Jakby tym lajdakiem sprawiał przykrość Szanieckiemu, który swym talentem, ciepłem szlacheckiej sylwetki, rubasznnością prosiaka, łagodzącego jego handlowo-matrimonialny pomysł i usprawiedliwiającego ekonomiczno-obyczajowym awiklaniem. No, może to nawet w pewnym stopniu odpowiada niby filozoficznej Orgonowej apostrofie: „Świecie, ty stary krętoszu”. Szaniecki mówi to tak pięknie i przekonująco, jak zresztą inne frazy Fredrowskiego wiersza, że postać Orgona sublimuje na podobieństwo niemal dramatycznej ofiary sytuacji bez wyjścia. Ze „szlachetnym” wyjściem spieszy już sam Fredro i dzięki komediowemu zbiegowi okoliczności nie dopuszcza, żeby Orgon postąpił jak Respekt u Słowackiego.

Do trójki protagonistów dostraja się warsztatową sprawnością i wyczuciem swej roli Adam Sądziak jako Filip. Nienagannie wpisują się w całość spektaklu Ewa Sasiadek (Rózia), Marian Jaskulski (Rafał Laguna), Zbigniew Samogranicki (Michał Laguna), Zbigniew Gorzowski (Służący), Zbigniew Horawa (Zyd), Tomasz Poźniak (Skrzypek) i Jarosław Szwece (Zyd-Wekslarz).

Jeszcze słowo o dwóch aktorach, Leona Birbanckiego gra Krzysztof Wojciechowski, Doktor Hugo — Jerzy Hojda. Nie można im odmówić wielu walorów — interesującej sylwetki, głosu, dykcji, umiejętności bycia na scenie. Odnosi się to i do przed nimi wymienionych artystów. A mimo to... Można by nawet uszy przymknąć, na jakieś niestaranności czy chropowatości w wygłaszaniu wiersza. Zastanawia co innego. Czy oni nie uwierzyli, że to wystarczy, że technika i rzemiosło to już pulap ich możliwości? Że można poprzestać na zewnętrznych, cyrkowych umiejętnościach tworzenia postaci, na ekwilibrystycznych sprawnościach ruchowych i mimicznych? Otóż, jeśli jeszcze nieco poprawią to rzemiosło i jeśli dopracują się osobowości (ludzkiej i artystycznej), jeśli wyposażą swą sztukę w parametry wewnętrzne, skrócą drogę do poziomu artystycznego reprezentowanego przez Giżyckiego i Szanieckiego.

KAZIMIERZ KANIA

*) Państwowy Teatr Ludowy w Krakowie: „Dożywocie” Aleksandra Fredry. Reżyseria: Kazimierz Witkiewicz, scenografia: Janusz Warpechowski, opracowanie muzyczne: Jolanta Szerba.